

ARTHUR CONAN DOYLE

TRAKTAT MORSKI

**THE NAVAL TREATY
PRZEŁOŻYL TADEUSZ EVERT**

Lipiec, pierwszy miesiąc po moim małżeństwie, zapisał mi się w pamięci trzema nadzwyczaj ciekawymi sprawami. Los pozwolił mi wówczas współpracować z Sherlockiem Holmesem i jeszcze lepiej zapoznać się z jego metodami. Sprawy te opisałem w moich wspomnieniach, opatrując je tytułami: „Afera drugiej plamy”, „Traktat morski” i „Wyczerpany kapitan”. Pierwsza z nich dotyczy jednak zagadnień takiej wagi i wiąże się z tyloma najznakomitszymi nazwiskami Anglii, że przez wiele jeszcze lat musi pozostać tajemnicą. Trzeba jednak powiedzieć, że dopiero ona wykazała w pełni, ile wart był analityczny umysł Holmesa i wywarła ogromne wrażenie na wszystkich, którzy z nim współpracowali. Ciągłe jeszcze przechowuję zapisaną niemal dosłownie rozmowę Holmesa z panami Dubuque’em z paryskiej policji i Fritzem von Waldbaumem, słynnym gdańskim specjalistą, którzy na próżno tracili czas i energię, goniąc za fałszywym tropem. Musimy jednak poczekać z udostępnieniem tej historii aż do następnego stulecia. Tymczasem zajmę się drugą z kolei sprawą, która zapowiadała się w swoim czasie na wydarzenie światowej wagi.

Będąc jeszcze w szkole, przyjaźniłem się z niejakim Percym Phelpsem, chłopcem w moim wieku, ale chodzącym do starszej klasy. Percy był wyjątkowo zdolny. Otrzymywał wszystkie szkolne nagrody, a następnie uzyskał stypendium, które pozwoliło mu kontynuować wielce obiecującą karierę na studiach w Cambridge. Pamiętam, że pochodził z bardzo ustosunkowanej rodziny. Już jako dzieci wiedzieliśmy, że jego wujem był lord Holdhurst, znany polityk, konserwatysta. W szkole te zaszczytne powiązania nie wychodziły mu na dobre. Przeciwnie, zachęcały nas tylko do ugania się za nim po boisku i walenia go po łydkach kijem od krokieta. Ale inaczej rzecz wyglądała, gdy Percy ukończył studia. Doszły mnie słuchy, że dzięki swoim zdolnościom i stosunkom otrzymał dobre stanowisko w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Potem już nic o nim nie słyszałem aż do chwili odebrania następującego listu:

Briarbrae, Woking

Mój drogi!

Chyba pamiętasz jeszcze »Kijankę« Phelpsa, który był w piątej klasie, gdy Ty byłeś w trzeciej. Może nawet słyszałeś, że dzięki wpływom mojego wuja uzyskałem dobre stanowisko w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie wszystko wróżyłoby mi świetną karierę, gdyby nie nagle nieszczęście, które zniweczyło moje nadzieje.

Nie ma po co opisywać Ci tej strasznej historii, bo jeśli spełnisz moją prośbę, opowiem Ci ją osobiście. Właśnie wstałem z łóżka po trwającym dziewięć tygodni zapaleniu mózgu, ale ciągle jeszcze jestem bardzo osłabiony. Czy mógłbyś przyjechać do mnie razem ze swoim przyjacielem Holmesem? Chciałbym usłyszeć jego opinię w gnębiącej mnie sprawie, ponieważ policja twierdzi, że nie jest w stanie nic więcej zrobić. Proszę Cię, przywieź go koniecznie, i to jak najszybciej. W tym okropnym położeniu, w jakim żyję, każda minuta wydaje się wiekiem. Powiedz mu, że zwracam się do niego dopiero teraz nie dlatego, abym nie doceniał jego talentów; po prostu zupełnie straciłem głowę. Teraz już mogę o wszystkim myśleć spokojniej, choć w ogóle muszę się bardzo oszczędzać, żeby nie nastąpił nawrót choroby. Jestem jeszcze taki słaby, że sam nie mogę pisać, i dlatego, jak widzisz, dyktuję ten list. Proszę Cię, koniecznie przywieź Holmesa.

Twój stary kolega Percy Phelps.

Było coś wzruszającego w tym liście. Jakaś żalosna nuta w powtarzającym się błaganiu o sprowadzenie Holmesa. Tak przejęła mnie ta prośba, że bez względu na trudności spełniłbym ją. Holmes uwielbiał robić to, co robił i tak samo chętnie niósł pomoc swoim klientom, jak ci ją

przyjmowali. Moja żona zgodziła się ze mną, że nie można zwlekać, toteż godzinę po śniadaniu znów byłem w moim dawnym mieszkaniu na Baker Street.

Holmesa zastałem w szlafroku, przy bocznym stole, zajętego jakimś chemicznym doświadczeniem. W wielkiej wygiętej retortce nad niebieskawym płomykiem bunsenowskiego palnika coś wrzało. Przedestylowane krople wolno skapywały do dwóch małych menzurek. Holmes ledwie rzucił na mnie okiem, a ja, widząc, jak bardzo jest zaabsorbowany, bez słowa zasiadłem w fotelu i czekałem aż skończy. Patrzyłem, jak szklaną pipetką pobierał krople roztworu to z jednej menzurki, to z drugiej i wreszcie, napełniwszy całą probówkę, przeniósł ją na stół. W prawej ręce trzymał kawałek lakmusowego papierka.

— Trafieś na ważny moment — powiedział. — Jeśli ten papierek pozostanie niebieski, wszystko w porządku, lecz jeśli się zaróżowi, oznaczać to będzie śmierć człowieka.

Zanurzył w próbówce papierek, który od razu nabrał brudnopurpurowego koloru.

— Hm! Tego się spodziewałem! — wykrzyknął Holmes. — Zaraz ci służyć, mój drogi. Tytoń znajdziesz w perskim pantoflu.

Podszedł do biurka i nakreślił kilka depesz, które dał do wysłania chłopcu na posyłki. Potem opadł na fotel naprzeciw mnie. Objął nogi rękoma i podkurczył kolana tak wysoko, że palce zetknęły mu się na szczupłych, długich goleniach.

— Najzwyklejsze morderstwo — powiedział. — Chyba masz coś ciekawszego. Czuję w tobie zwiastuna burzy. O co chodzi?

Podąłem mu list. Przeczytał go bardzo uważnie.

— Nic nam to nie mówi, prawda? — powiedział zwracając mi list.

— Prawie nic.

— A jednak charakter pisma jest bardzo ciekawy!

— Przecież to nie on pisał!

— Oczywiście. Pisała kobieta...

— Na pewno mężczyzna! — wykrzyknąłem.

— Nie, kobieta. I to kobieta o niezwyklej cechach charakteru. Widzisz, od samego początku sprawy jest ważne, aby wiedzieć, że nasz klient pozostaje w ścisłym kontakcie z kimś, kto pod każdym względem jest naturą wyjątkową, nawet jeżeli jest kimś złym. Jeśli jesteś gotów, możemy od razu pojechać do Woking i zobaczyć pogrążonego w nieszczęściu dyplomatę oraz kobietę, której dyktował ten list.

Udało nam się złapać poranny pociąg ze stacji Waterloo. W niecałą godzinę znaleźliśmy się wśród jodłowych lasów i wrzosowisk Wokingu. Briarbrae okazało się obszernym, stojącym na odludziu dworem, otoczonym rozległym parkiem. Od stacji dzieliło go niecałe dziesięć minut drogi. Po oddaniu naszych wizytówek weszliśmy do wytwornie urządzonego salonu, gdzie po paru minutach bardzo uprzejmie powitał nas jakiś tęgi mężczyzna. Musiał już mieć około czterdziestki, lecz jego rumiane policzki i wesołe oczy przywodziły na myśl raczej młodego, pulchnego, psotnego chłopaka.

— Bardzo się cieszę, że panowie przyjechali — powiedział, wylewnie ściskając nasze dłonie.

— Percy od rana dopytuje się o panów. Biedny chłopiec, chwytą się najdrobniejszego okruszka nadziei. Jego rodzice prosili, abym powitał panów w ich imieniu, gdyż każda wzmianka o tej sprawie jest dla nich bardzo bolesna.

— Trudno nam zabierać głos, ponieważ nic właściwie jeszcze nie wiemy — zauważył Holmes. — Widzę, że pan nie należy do rodziny.

Nasz nowy znajomy wydawał się zaskoczony. Wreszcie spojrzął w dół i się roześmiał.

— Ach, musiał pan zobaczyć monogram J.H. na moim breloku — powiedział. — Przez chwilę myślałem, że zagadka była trudniejsza. Nazywam się Józef Harrison, a że Percy jest

zareczony z moją siostrą Anną, dzięki temu małżeństwu wejść do rodziny. Moją siostrę zobaczą panowie w pokoju Percy'ego. W czasie choroby nie odstępowała go ani w dzień, ani w nocy przez całe dwa miesiące. Może od razu tam pójdziemy. Wiem, jak się Percy niecierpliwi.

Weszliśmy do pokoju na tym samym piętrze, który był czymś pośrednim między bawialnią a sypialnią. W każdym kącie i kąciku stały gustownie ułożone kwiaty. Przy otwartym oknie, przez które wpadały upajające zapachy ogrodu i lata, leżał wyciągnięty na kanapie blady, wyczerpany młody mężczyzna. Siedząca obok niego kobieta wstała na nasz widok.

— Czy mam wyjść, Percy? — zapytała. Chwycił jej rękę i zatrzymał.

— Jak się masz, Watsonie! — powitał mnie serdecznie. — Nie poznałbym cię, wasy cię zmieniły, a i ty chyba byś mnie nie poznał. To zapewne twój słynny przyjaciel, pan Sherlock Holmes?

Przedstawiłem Holmesa i obaj usiedliśmy. Tęgi młody mężczyzna odszedł, ale jego siostra została i nadal siedziała przy chorym, który kurczowo trzymał jej rękę. Była to młoda kobieta, raczej niska i trochę zbyt pulchna, lecz w sumie o zniewalającym wyglądzie. Miała prześliczną śniadą cerę, duże włoskie oczy i niezwykle gęste, kruczoczarne włosy. Przy tym bogactwie kolorów blada, schorowana twarz Percy'ego wydawała się jeszcze bledsza.

— Nie będę zabierał panom czasu — powiedział chory, unosząc się na kanapie — i przystąpię do rzeczy bez zbędnych wstępów. Byłem człowiekiem szczęśliwym, na progu kariery, tuż przed ślubem, gdy nagle spadło na mnie straszne nieszczęście mszcząc wszelkie moje widoki na przyszłość. Watson pewnie mówił panu, że pracuję w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie dzięki wpływom mojego wuja, lorda Holdhursta, szybko otrzymałem odpowiedzialne stanowisko. Wuj, po mianowaniu go ministrem Spraw Zagranicznych, powierzał mi wiele poufnych spraw, a że zawsze wywiązywałem się z moich obowiązków należycie, nabrał do mnie pełnego zaufania.

Jakieś dziesięć tygodni temu, dokładnie mówiąc 23 maja, wuj wezwał mnie do swego gabinetu, wyraził mi uznanie za moją pracę i powiedział, że chce mi powierzyć nowe poufne zadanie.

— Masz, powiedział, wyjmując z biurka szary rulon papieru — oryginał tajnego traktatu zawartego między Anglią i Włochami. Niestety, niektóre szczegóły z niego przedostały się już do prasy. Jest rzeczą niesłychanie ważną, żeby już nic więcej nie przeniknęło na zewnątrz. Ambasada rosyjska czy francuska zapłaciłaby każdą cenę za jego treść. Nie wypuściłbym go z rąk, gdyby nie konieczność zrobienia kopii. Czy u siebie w biurze masz zamykaną szufladę?

— Tak.

— Więc weź ten traktat i zamknij go starannie. Wydam odpowiednie dyspozycje, abyś mógł zostać w biurze, gdy wszyscy już skończą pracę. Wtedy będziesz mógł przepisać traktat, nie obawiając się, że ktoś cię zauważy. Gdy skończysz, zamkniesz oryginał i kopię na klucz. Oddasz mi je osobiście jutro rano.

— Zabrałem dokument i...

— Przepraszam, chwileczkę — przerwał Holmes. — Czy ta rozmowa toczyła się w cztery oczy?

— Tak. Z całą pewnością

— Czy gabinet wuja jest duży?

— Trzydzieści stóp na trzydzieści.

— Rozmawialiście, stojąc pośrodku?

— Tak, prawie na środku.

— Mówiliście cicho?

— Mój wuj zawsze mówi cicho. A ja prawie milczałem.

— Dziękuję — Holmes przymknął oczy. — Proszę, niech pan mówi dalej.

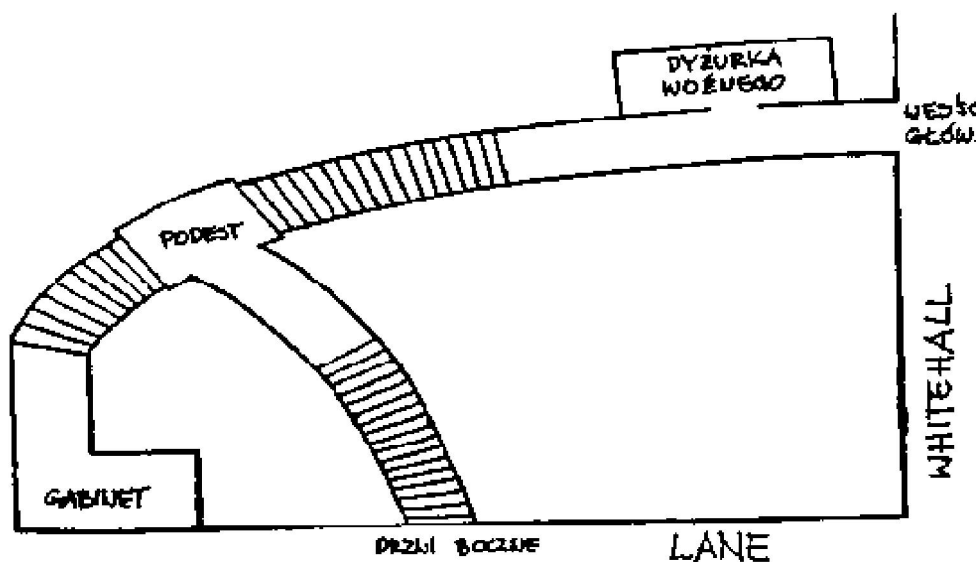
— Zrobiłem tak, jak mi kazał, i czekałem, aż inni urzędnicy wyjdą. Jeden z kolegów, Charles Gorot, pracujący w tym samym pokoju, miał jeszcze coś do załatwienia. Zostawiłem go więc samego i poszedłem na obiad. Kiedy wróciłem, już go nie było. Szybko zabrałem się do przepisywania, gdyż Józef Harrison, którego panowie przed chwilą poznali, był akurat w mieście i chciałem razem z nim wrócić do Woking pociągiem o jedenastej.

Przeglądając traktat, przekonałem się, że mój wuj ani trochę nie przesadził mówiąc o nadzwyczajnej jego ważności. Nie wnikając w szczegóły, powiem tylko, że dotyczył on stanowiska Anglii wobec Trójprzymierza i z góry określał jej politykę w wypadku, gdyby Francja zyskała supremację nad Włochami na Morzu Śródziemnym. W traktacie omawiano czysto morskie sprawy. Podpisali go najwyżsi dygnitarze państwowi. Przerzuciłem dokument i zasiadłem do przepisywania.

Dokument był długi, zawierał dwadzieścia sześć artykułów w języku francuskim. Pisałem tak szybko, jak mogłem, ale do dziewiątej wieczorem zdołałem przepisać zaledwie dziewięć z nich. Straciłem więc nadzieję, że zdążę na pociąg odchodzący o jedenastej. Byłem już zmęczony, ogarniała mnie senność, być może po obfitym obiedzie, ale także po całodziennym pracy. Przydałaby mi się filiżanka kawy. Na dole, przy wejściu na schody, w dyżurce siedzi zawsze w nocy jeden z woźnych, który, jak to już weszło do zwyczaju, parzy na spirytusowej maszynie kawę dla urzędników pracujących po godzinach. Zadzwoiłem więc na niego.

Zdziwiłem się, gdy zamiast woźnego weszła jakaś starsza, tęga kobieta w fartuchu. Widząc moje zdziwienie, powiedziała, że jest żoną woźnego przychodzącą tu na posługę. Kazałem więc jej zaparzyć kawę.

Przepisałem dwa następne artykuły, ale czując, że jestem coraz bardziej senny, wstałem i przespacerowałem się po pokoju. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego jeszcze nie podano mi kawy. Otworzyłem więc drzwi gabinetu, w którym pracuję, i wyszedłem na ciemny i słabo oświetlony korytarz. Było to jedyne wyjście z mojego pokoju. W połowie drogi na klatce schodowej znajdował się mały podest, od którego pod kątem prostym odchodzi drugi, mniejszy korytarz. Na dole, jak już mówiłem, jest dyżurka woźnego. Korytarz biegnie dalej do schodków prowadzących do bocznych drzwi, używanych przez służbę i urzędników, którzy skracają sobie w ten sposób drogę z Charles Street. Proszę, tu jest odręczny szkic.



— Dziękuję. Wszystko jest dla mnie jasne — powiedział Holmes.

— Szalenie ważne jest, by się pan dobrze zorientował w sytuacji. A więc zszedłem na dół do holu i tam zobaczyłem woźnego śpiącego twardo w dyżurce. Kawa wykipiiała. Nie tylko spirytusowa maszynka, ale cała podłoga była zachlapana. Właśnie wyciągałem rękę, żeby potrząsnąć za ramię słodko śpiącego woźnego, gdy tuż nad jego głową rozdzwonił się dzwonek i zbudził go ze snu.

— Słucham pana, panie Phelps — powiedział woźny, patrząc na mnie niezbyt przytomnie.

— Zszedłem, żeby zobaczyć, co się dzieje z moją kawą.

— Zasnąłem, parząc ją, proszę pana — spojrzał na mnie, a później z rosnącym zdziwieniem na dzwonek, który nie przestawał brzęczeć.

— Jeżeli pan tu jest, to kto tam dzwoni? — zapytał.

— Dzwoni? — powtórzyłem. — Co to za dzwonek?

— To dzwonek z pańskiego pokoju.

Serce we mnie zamarło. Ktoś więc musiał być na górze, gdzie leżał na stole cenny traktat. Jak szalony pobiegłem schodami i korytarzem do pokoju. Korytarz był pusty, panie Holmes. I pokój też. Wszystko w nim było na miejscu, tylko powierzone mi papiery zniknęły z biurka. Kopia została, lecz oryginał zniknął.

Holmes siedział wyprostowany i tylko tarł dłonie. Zauważyłem, że był bardzo zaintrygowany.

— No, i co pan zrobił dalej? — mruknął.

— Natychmiast domyśliłem się, że złodziej musiał wejść bocznymi drzwiami. Inaczej spotkałbym go, biegnąc na górę.

— Jest pan pewien, że nie schował się w pokoju albo, jak pan mówił, w tym słabo oświetlonym korytarzu?

— Jestem zupełnie pewny. Nawet mysz nie ukryłaby się w pokoju czy korytarzu. Nie ma gdzie.

— Dziękuję. Proszę mówić dalej.

— Woźny zorientował się, widząc moje przerażenie, że stało się coś niedobrego, wpadł za mną na górę. Obaj pobiegliśmy korytarzem i schodami wiodącymi na Charles Street. Drzwi na dole były zamknięte, ale nie na klucz. Otworzyliśmy je jednym pchnięciem i wypadliśmy na ulicę. Dobrze pamiętam, że w tej chwili na sąsiedniej wieży kościoła wybiły trzy uderzenia: była za kwadrans dziesiąta.

— To bardzo ważne — wtrącił Holmes, coś sobie notując na mankiecie.

— Noc była ciemna, lał gęsty, ciepły deszcz. Charles Street była pusta, ale u jej wylotu, na Whitehall, jak zawsze panował wielki ruch. Z gołymi głowami, jak staliśmy, pobiegliśmy ulicą i przy jej końcu na rogu wpadliśmy na policjanta.

— Popełniono kradzież — wykrztusiłem jednym tchem. — Skradziono niesłychanie ważny dokument z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Czy nikt tędy nie przechodził?

— Stoję tu od kwadransa, proszę pana — powiedział — i tylko jedna kobieta tędy przeszła. Starsza i wysoka, w ciepłej chustce.

— To moja żona! — wykrzyknął woźny. — Nikt inny nie szedł?!

— Nikt.

— Musiał uciec inną drogą! — wołał woźny, szarpiąc mnie za rękaw.

Lecz to mnie nie uspokoiło, a jego wysiłki w celu odwrócenia mojej uwagi wzbudziły we mnie jeszcze większe podejrzenie.

— Dokąd poszła ta kobieta? — spytałem.

— Nie wiem, proszę pana. Widziałem, jak szła, ale nie miałem powodu, aby ją obserwować. Pamiętam tylko, że się spieszyła.

— Jak dawno to było?

— Przed paroma minutami.

— Przed pięcioma?

— Najwyżej.

— Pan marnuje czas, a każda minuta jest cenna! — wołał woźny. — Zapewniam pana, że ta kobieta nie ma z tym nic wspólnego. Biegnijmy w tamtą stronę! Nie wiem jak pan, ale ja biegnę.

— I puścił się w dół ulicy.

Natychmiast go dopędziłem i chwyciłem za rękaw.

— Gdzie mieszkanie? — zapytałem.

— Pod 16 Ivy Lane, Brixton — odpowiedział. — Niech pan nie idzie fałszywym tropem! Chodźmy na drugi koniec ulicy i tam poszukajmy.

Nic nie stało na przeszkodzie, abym posłuchał jego rady. Wraz z policjantem pobiegliśmy na drugi koniec ulicy, ale tylko po to, żeby wpaść w tłum ludzi i pojazdów. W tę dżdżystą noc każdy chciał jak najprędzej dostać się do domu, nie spotkaliśmy więc żadnego przechodnia, który mógłby nam coś powiedzieć.

Wróciliśmy do biura. Przeszukaliśmy schody i korytarz — na próżno. Korytarz prowadzący do pokoju wyłożony jest jasnym linoleum, na którym odbiły się każdy ślad. Badaliśmy bardzo uważnie, lecz nie znaleźliśmy żadnego odcisku stopy.

— Czy deszcz padał przez cały wieczór?

— Od siódmej.

— Dlaczego posługaczka, która weszła do pokoju koło dziewiątej, nie zdeptała linoleum?

— Dobrze, że pan na to zwrócił uwagę. Sam na to wpadłem: posługaczki zwykle zdejmują buty w dyżurce i wkładają miękkie pantofle.

— No tak. To jasne. A więc mimo deszczowej pogody nie wykryliście panowie żadnych śladów? Bardzo ciekawe. I co pan zrobił później?

— Obejrzeliliśmy dokładnie pokój. Nie ma w nim żadnego tajnego wyjścia, a okna znajdują się trzydzieści stóp nad ziemią. Oba zresztą były mocno zamknięte od wewnątrz. Dywan wyklucza myśl o jakiejś zapadni. Sufit jest gładki, bielony, nienaruszony. Gotów jestem przysiąc na wszystko, co dla mnie święte, że złodziej, który ukradł moje papiery, wszedł drzwiami.

— A kominek?

— Nie ma go. Jest tylko piec. Sznur od dzwonka zwisa po prawej stronie mojego biurka. Ten, kto dzwonił, musiał do niego podejść. Lecz po co miałby złodziej dzwonić? To największa zagadka.

— Z pewnością ta sprawa jest niezwykła. Co pan zrobił później? Zakładam, że zbadaliście, czy nie zostały jakieś ślady po intruzie w pokoju, na przykład niedopałek, rękawiczki, szpilki czy coś podobnego?

— Nic nie znaleźliśmy.

— Nie poczuł pan żadnego obcego zapachu?

— Nie pomyślałem o tym.

— Ach, zapach tytoniu mógłby nam dużo powiedzieć.

— Ja nie palę, myślę więc, że od razu zwróciłbym uwagę na zapach tytoniu. Nie znalazłem żadnego klucza do zagadki. Jedyne, co wydawało nam się istotne, to pośpiech, z jakim żona woźnego, pani Tangey, wyszła z biura. On nie mógł nam nic wyjaśnić. Powiedział tylko, że o tej porze żona zawsze szła do domu. Zgodziłem się z policjantem, że najlepiej zrobimy, próbując ją złapać, zanim odda komuś papiery, jeśli oczywiście je zabrała.

Tymczasem wiadomość dotarła do Scotland Yardu. Na miejsce przybył detektyw Forbes, który energicznie zabrał się do rzeczy. Wsiadliśmy do dorożki i za pół godziny znaleźliśmy się pod wskazanym adresem. Otworzyła nam młoda dziewczyna, jak się okazało, starsza córka Tangeyów. Matka jeszcze nie wróciła, zaczekaliśmy więc na nią w pokoju frontowym.

Dziesięć minut potem ktoś zastukał do drzwi wejściowych. I tu zrobiliśmy bardzo poważny błąd, którego nie mogę sobie darować. Zamiast sami otworzyć drzwi, pozwoliliśmy to zrobić córce. Usłyszeliśmy, jak mówiła: „Mamo, dwóch panów czeka na ciebie”, a zaraz potem — tupot szybkich kroków w korytarzu. Forbes jednym pchnięciem otworzył drzwi i wpadliśmy do kuchni, ale posługaczka znalazła się w niej przed nami. Patrzyła na nas podejrzliwie, ale nagle poznała mnie i osłupiała ze zdziwienia.

— Jak to... pan Phelps z naszego biura? — powiedziała.

— Przed kim pani tak uciekała? — zapytał detektyw.

— Myślałam, że to komornicy — odparła. — Mamy kłopoty, jesteście winni sklepikarzowi.

— Kiepska wymówka — rzekł Forbes. — Podejrzewamy, że pani skradła ważne papiery w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i chce je tu schować. Musi pani pojechać z nami do Scotland Yardu i poddać się rewizji.

Na próżno broniła się i zaprzeczała. Sprowadziliśmy dorożkę i w trójkę odjechaliśmy. Ale przedtem przetrzasnęliśmy kuchnię, a przede wszystkim obejrzelśmy palenisko, czy czasem nie spalono tam jakichś papierów. Nie znaleźliśmy jednak ani popiołu, ani żadnego skrawka dokumentu.

Po przyjeździe do Scotland Yardu posługaczkę oddano w ręce policjantki, która przeprowadziła rewizję osobistą. Z zamierającym sercem czekałem na wynik. Wreszcie policjantka wróciła. Nie znalazła nic podejrzanego. Wtedy po raz pierwszy w pełni dostrzegłem całą groźbę sytuacji. Zajęty poszukiwaniami, dotychczas o niczym innym nie byłem w stanie myśleć. Byłem tak pewny, że szybko uda mi się odnaleźć skradziony traktat, iż nawet do głowy mi nie przyszło, co się stanie, jeśli poszukiwania zawiodą. Ale teraz, kiedy już zrobiłem wszystko, co było możliwe, miałem dużo czasu, żeby zastanowić się nad strasznymi dla mnie konsekwencjami tej kradzieży. Byłem w tragicznej sytuacji! Watson powie panu, że jeszcze w szkole byłem bardzo nerwowy i przewrażliwiony. Taki już mam charakter. Myślałem o moim wuju, o jego kolegach w rządzie, o hańbie, jaką ściągnąłem na niego, na siebie i moich bliskich. Cóż z tego, że padłem ofiarą nieprzewidzianych okoliczności? W dyplomacji nie ma wytłumaczenia dla nieprzewidzianych okoliczności, gdy w grę wchodzi interes państwa. Moje życie legło w gruzach: byłem zhańbiony, zgubiony. Nie przypominam sobie, co było dalej. Pewnie dostałem jakiegoś ataku. Pamiętam tłum urzędników ze Scotland Yardu tłoczących się i pocieszających mnie. Jeden z nich odwiózł mnie na stację Waterloo i wsadził do pociągu jadącego do Woking. Pewnie odwiózłby mnie aż do domu, gdyby nie doktor Ferrier, nasz sąsiad, który wracał tym samym pociągiem. Uprzejmie zaopiekował się mną i dobrze się stało, bo na stacji dostałem nowego ataku i zanim dotarłem do domu, zachowywałem się już jak kompletny wariat.

Może pan sobie wyobrazić, co się działo w domu, gdy na gwałtowny dzwonek doktora wszyscy zerwali się z łóżek i zobaczyli mnie w tak opłakanym stanie. Biednej Annie i matce omal nie pękły serca z rozpacz. Doktor, jeszcze na stacji, pobieżnie zaznajomiony przez detektywa z przebiegiem wypadków, złożył niepełną relację, co oczywiście nie polepszyło nastrojów. Stało się jasne, że rozchorowałem się na dobre. Wyrzucono więc Józefa z przytulnej bawialni i zamieniono ją w szpital. Leżałem tu przeszło dziewięć tygodni, majacząc i bredząc nieprzytomnie; był to ciężki przypadek zapalenia mózgu. Gdyby nie pełna poświęcenia opieka panny Harrison i doktora, pewnie by pan dziś ze mną nie rozmawiał, panie Holmes. Anna nie

odstępowała mnie we dnie, a wynajęta pielęgniarka w nocy, bo w ataku szału mogłem się porwać na wszystko. Powoli wracałem do zdrowia, ale dopiero od trzech dni w pełni odzyskałem władze umysłowe. Czasem myślę jednak, że lepiej byłoby, gdybym zwariował. Gdy tylko poczułem się lepiej, zaraz zatelegrafowałem do Forbesa, który prowadzi śledztwo. Przyjechał i powiedział, że choć poczyniono wszelkie kroki, nie natrafiono jednak na żaden ślad. Szczegółowo przesłuchano woźnego i jego żonę, ale ich zeznania nie rzuciły nawet najślabszego światła na tę straszną zagadkę. Podejrzenia policji padły więc na młodego Gorota, który, jak pan pamięta, został tamtego wieczoru trochę dłużej w biurze. Ten fakt i francuskie nazwisko były jedynymi podstawami do podejrzeń. Ale ja przecież do roboty zabrałem się po jego wyjściu, a co do jego pochodzenia, to choć jest z hugenockiej rodziny, jest tak samo dobrym Anglikiem jak pan czyja. Nie można mu było nic udowodnić i na tym się wszystko skończyło. Pan, panie Holmes, jest więc moją ostatnią nadzieją. Jeśli panu się nie uda odnaleźć skradzionych dokumentów, stracę honor i moja kariera będzie zwichnięta na zawsze.

Chory osunął się na poduszki, wyczerpany długim opowiadaniem, a jego narzeczona podała mu szklankę jakiegoś pokrzepiającego napoju. Holmes siedział w milczeniu, z odchyłoną w tył głową i zamkniętymi oczami, pozornie zupełnie obojętny. Ja jednak wiedziałem, że ta postawa oznacza u niego najwyższe skupienie.

— Opowiedział pan wszystko tak szczegółowo, że właściwie nie mam o co pytać — odezwał się wreszcie. — Chciałbym panu zadać tylko jedno bardzo ważne pytanie: Czy pan nikomu nie mówił, że ma się zająć tak odpowiedzialną pracą?

— Nikomu.

— Nawet panie Harrison?

— Nie. Po rozmowie z wujem nie wróciłem przecież do domu i kilka godzin później zabrałem się do przepisywania.

— A czy nikt z rodziny nie wpadł w tym czasie do pana?

— Nikt.

— Czy rodzina zna wszystkie wejścia do ministerstwa?

— Tak, zna. Prawie wszyscy bywali u mnie w biurze.

— Oczywiście, skoro pan nikomu nie mówił o czekającej pana pracy, moje pytania nie mają nic do rzeczy.

— Nikomu nic nie mówiłem.

— Co pan wie o woźnym?

— Tylko tyle, że jest byłym żołnierzem.

— Którego pułku?

— Słyszałem, że był w gwardii Coldstream.

— Dziękuję panu. Myślę, że dalszych szczegółów dowiem się od Forbesa. Władze doskonale potrafią gromadzić fakty, choć nierzadko nie potrafią z nich korzystać. Cóż to za wspaniała róża!

Wstał, przeszedł obok kanapy do otwartego okna, uniósł opadającą łodygę róży i przyjrzał się dokładnie subtelnej mieszaninie purpury i zieleni. Dla mnie był to nowy rys jego charakteru, gdyż nigdy dotąd nie wykazywał najmniejszego zainteresowania przyrodą.

— Do dedukcji należy się odnosić z nabożeństwem. To jak religia — powiedział, opierając się plecami o okiennice. — Człowiek logicznie rozumujący może ją rozwinąć w naukę ścisłą. Dla mnie wspaniałomyślność opatrności znajduje najwyższe potwierdzenie w kwiatach. Wszystko inne — siły, chęci, pożywienie, to przede wszystkim rzeczy niezbędne dla naszej egzystencji. Ale róża to coś więcej. Jej zapach i kolor są pięknem życia, lecz nie jego warunkiem. Tylko wspaniałomyślności możemy zawdzięczać ten niepowtarzalny dar i dlatego jeszcze raz twierdzę: w kwiatach winniśmy pokładać nasze nadzieje.

Percy Phelps i jego pielęgniarka ze zdumieniem i niemym rozczarowaniem słuchali tej wypowiedzi. A Holmes, trzymając różę między palcami, rozmarzył się.

Wreszcie po paru minutach młoda dziewczyna nieco szorstko przerwała milczenie.

— Czy ma pan jakąś nadzieję, że uda się odkryć tę tajemnicę?

— A, tajemnicę! — odpowiedział Holmes; raptownie wyrwany z zadumy, wrócił do rzeczywistości. — Nonsensem byłoby twierdzenie, że sprawa jest prosta i nieskomplikowana, obiecuję jednak, że zajmę się nią i powiadomię państwa o wszystkim, co mnie w niej najbardziej uderzy.

— A czy widzi pan jakiś punkt zaczepienia?

— Z opowiadania wyłoniło się ich siedem. Oczywiście, muszę je sprawdzić, zanim powiem, ile są warte.

— Podejrzewa pan kogoś?

— Podejrzewam siebie...

— Co?!

— ...że wyciągnąłem zbyt pospieszne wnioski.

— Niechże więc pan wraca do Londynu i je sprawdzi.

— Pani rada jest doskonała, panno Harrison — powiedział Holmes, odchodząc od okna. — Myślę, Watso — nie, że nic innego nam nie pozostaje. A pan, panie Phelps, niech się nie łudzi fałszywymi nadziejami. Sprawa jest bardzo zawiślana.

— Będę oczekiwał pana niecierpliwie! — wykrzyknął młody dyplomata.

— Dobrze. Przyjadę jutro rano tym samym pociągiem, choć wątpię, czy już z rozwiązaniem.

— Niech pana Bóg wynagrodzi za obietnicę przyjazdu — powiedział nasz klient. — Życie mi wraca, gdy pomyślę, że sprawę da się rozwiązać. Ale, ale, otrzymałem list od lorda Holdhursta.

— Co pisze?

— List chłodny, ale nie jest utrzymany w ostrym tonie. Sądzę, że to moja choroba powstrzymała go od przykrych słów. Powtarza, że sprawa jest niezwyklej wagi, i dodaje, że nie podejmie żadnych kroków w stosunku do mnie (ma na myśli, oczywiście, zwolnienie mnie) dopóki nie odzyskam zdrowia i nie wykorzystam wszystkich środków, aby naprawić zło.

— Bardzo rozsądnie i taktownie — rzekł Holmes. — Chodźmy, Watsonie. Czeka nas dużo pracy w Londynie.

Józef Harrison odwiózł nas na stację i wkrótce siedzieliśmy już w pociągu do Portsmouth. Holmes zamyślił się i po raz pierwszy odezwał się dopiero, gdy mijaliśmy Clapham Junction.

— Zawsze mnie pogodnie usposabia, gdy wjeżdżam do Londynu jedną z tych wysoko biegnących linii i patrzę na domy w dole.

Myślałem, że żartuje, bo widok był dość ponury, ale Holmes wyjaśnił, o co mu chodzi.

— Spójrz na te samotne bryły budynków wystających nad dachami domów niczym ceglane wyspy nad ołowianym morzem.

— Szkoły publiczne.

— Latarnie morskie, mój chłopcze! Światła ostrzegawcze! Torebki nasienne z setkami małych ziarenek, z których wykwitnie lepsza Anglia przyszłości. Ten Phelps chyba nie pije?

— Chyba nie.

— I ja tak myślę. Ale musimy wszystko wziąć pod uwagę. Biedny chłopak wpadł jak śliwka w kompot. Pytanie, czy zdołamy go z niego wyciągnąć. Co sądzisz o pannie Harrison?

— To dziewczyna o mocnym charakterze.

— Tak, a przy tym porządna, chyba że się mylę. Ona i jej brat to jedyne dzieci fabrykanta metalowego z Northumberland. Phelps zaręczył się z nią zeszłej zimy w czasie jednej ze swych podróży. Teraz ona przyjechała z bratem do Woking, by poznać rodzinę narzeczonego. Akurat w

tym czasie wydarzyło się to nieszczęście. Została więc i pielęgnuje ukochanego, a jej brat, który czuje się tu jak u Pana Boga za piecem, został z nią. Jak widzisz, czegoś się dowiedziałem. Ale tak się składa, że dzisiejszy dzień musimy poświęcić zbieraniu dalszych informacji.

— Moja praktyka lekarska... — zacząłem.

— Och, jeżeli uważasz, że twoja praktyka dostarczy ci czegoś ciekawszego niż moja... — szorstko przerwał mi Holmes.

— Chciałem powiedzieć, że moja praktyka doskonale się beze mnie obejdzie dzień lub dwa, bo to najbardziej ogórkowy sezon w roku.

— Doskonale — odparł Holmes, odzyskując humor. — A więc zajmiemy się rozwiązaniem tej zagadki razem. Zaczniemy od rozmowy z Forbesem. Pewnie zaznajomi nas z interesującymi szczegółami i będziemy wiedzieli, od czego zacząć.

— Mówiłeś, że masz już punkt zaczepienia.

— Tak, mam parę, lecz ich wartość należy dopiero sprawdzić. Najtrudniej wyśledzić przestępstwo bez motywu. Ale to nim nie jest. Komu mogło być potrzebne? Ambasadorowi Francji, ambasadorowi Rosji, każdemu, kto mógł sprzedać dokument jednemu z nich, i wreszcie lordowi Holdhurstowi.

— Lordowi Holdhurstowi!?

— No tak. Można sobie wyobrazić taką sytuację, kiedy mąż stanu wcale by się nie zmartwił, gdyby dokument nagle i przypadkowo zniknął.

— Ale nie mąż stanu tak nieskazitelny jak Holdhurst.

— Musimy brać pod uwagę każdą możliwość. Dziś jeszcze odwiedzimy szanownego lorda i zobaczymy, co nam powie. Tymczasem już rozpocząłem śledztwo.

— Już?

— Tak. Depeszowałem ze stacji w Woking do wszystkich wieczornych gazet w Londynie. Prosiłem o umieszczenie tego ogłoszenia. Podał mi kartkę wyrwaną z notesu, na której było napisane:

10 funtów NAGRODY za podanie numeru dorożki, która przywiozła pasażera przed same drzwi lub prawie pod drzwi Ministerstwa Spraw Zagranicznych z Charles Street wieczorem 23 maja o godzinie za kwadrans dziesiąta. Wiadomość podać na Baker Street nr 221 b.

— Jesteś pewien, że złodziej przyjechał dorożką?

— A gdyby nawet nie, to cóż to szkodzi? Jeżeli jednak Phelps ma rację, twierdząc, że ani na korytarzu, ani w jego pokoju złodziej nie miał się gdzie ukryć, to musiał przybyć z zewnątrz. Skoro zaś w taki deszczowy wieczór nie zostawił śladów na linoleum, pamiętasz, obejrzano je w parę minut po kradzieży, musiał przyjechać dorożką. Tak, myślę, że śmiało możemy to wydedukować.

— To brzmi bardzo prawdopodobnie.

— Jest to jeden z tych punktów, o których wspomniałem, i może nam dać nić do ręki. No, a potem dzwonek. Też jeden z najistotniejszych szczegółów. Dlaczego dzwonek dzwonił? Czy złodziej pociągnął za niego chcąc się popisać brawurą? Czy też był z nim ktoś, kto chciał zapobiec kradzieży? A może był to czysty przypadek? Lub wreszcie... — Znów zapadł w milczącą zadumę, z której niedawno się zbudził.

Znałem go jednak na tyle, by wiedzieć, że nagle wpadł na jakiś nowy pomysł.

Dwadzieścia po trzeciej dotarliśmy do celu podróży. Szybko przegryźliśmy coś niecoś w bufecie kolejowym i pojechaliśmy do Scotland Yardu. Forbes, uprzedzony depeszą Holmesa,

czekał na nas. Był to niski człowieczek, z przenikliwym, lisim, wcale nie uprzejmym wyrazem twarzy. Przywitał nas oziębło, zwłaszcza gdy się dowiedział, po co przychodzimy.

— Już słyszałem o pańskich metodach pracy, panie Holmes — powiedział zjadliwie. — Wykorzystuje pan informacje zebrane i dostarczone panu przez policję, kończy pan sprawę i zgarnia laury.

— Przeciwnie — odparł Holmes. — Z ostatnich pięćdziesięciu trzech spraw, które prowadziłem, o mnie była mowa tylko w czterech przypadkach. W pozostałych czterdziestu dziewięciu cały zaszczyt przypadł policji. Nie dziwię się, że pan o tym nie wie. Jest pan jeszcze młody i niedoświadczony. Ale jeżeli pan chce osiągnąć powodzenie na początku swojej kariery, niech pan lepiej trzyma ze mną.

— Będę panu wdzięczny za jakąś wskazówkę w tej sprawie — bardziej już uprzejmym tonem powiedział detektyw. — Jak dotąd nie miałem szczęścia.

— A co pan dotychczas zrobił?

— Zbadaliśmy przeszłość woźnego Tangeya. Zwolniono go z wojska z dobrą opinią. Nic nie przemawia przeciw niemu. Jego żona natomiast to nic dobrego. Zdaje się, że mogłaby coś więcej powiedzieć o tej kradzieży.

— Czy pan ją śledził?

— Śledziła ją jedna z naszych agentek. Okazało się, że zagląda do kieliszka. Policjantka była u niej dwa razy, gdy tamta miała już dobrze w czubie, lecz nie udało jej się nic z niej wydobyć.

— Słyszałem, że komornik zaglądał do Tangeyów.

— Tak, ale spłacili już dług.

— Skąd wzięli pieniądze?

— To nie budzi podejrzeń. Akurat w tym czasie Tangey dostał pensję, choć na ogół jest u nich krucho.

— A dlaczego to ona przyszła na dzwonek Phelpsa?

— Mówi, że mąż był bardzo zmęczony i chciała go wyrećzyć.

— Istotnie, parę minut potem Phelps znalazł go śpiącego w dyżurce. A więc wszystko się zgadza z wyjątkiem złego charakteru żony i nałogów. Czy pytał ją pan, dlaczego tak się spieszyła tego wieczoru, kiedy popełniono kradzież? Przecież to właśnie zwróciło na nią uwagę policjanta.

— Zasiadziała się dłużej niż zwykle i chciała jak najprędzej być w domu.

— Czym tłumaczy fakt, że pan i Phelps znaleźliście się u niej wcześniej niż ona, choć wyjechaliście jakieś dwadzieścia minut później?

— Tłumaczy to tym, że my jechaliśmy dorożką, a ona omnibusem.

— A dlaczego po przyjeździe do domu pobiegła prosto do kuchni?

— Bo tam trzymała pieniądze dla komornika.

— Widzę, że na wszystko ma odpowiedzi. Pytał ją pan, czy wychodząc z biura nie widziała kogoś włączającego się po Charles Street?

— Widziała tylko policjanta.

— Hm, wypytał ją pan dokładnie. Co jeszcze pan zrobił?

— Przez dziewięć tygodni śledziliśmy Gorota, ale to nic nie dało. Jest czysty jak łąza.

— I co jeszcze?

— Więcej już nic. Nie mamy się czego chwycić.

— Jak pan myśli, dlaczego pociągnięto za dzwonek?

— Przyznaję, że tego nie rozumiem. Musiał to być jakiś bezczelny gość, igrający z niebezpieczeństwem.

— Tak, to dziwne. Dziękuję panu za te wiadomości. Jeżeli uda mi się wyśledzić przestępcę, dam panu znać. Chodźmy, Watsonie.

— Dokąd teraz idziemy? — zapytałem po wyjściu ze Scotland Yardu.

— Pójdziemy pogadać z lordem Holdhurstem, ministrem i przyszłym premierem Anglii.

Szczyście nam dopisało. Zastaliśmy jeszcze lorda Holdhursta na Downing Street. Holmes posłał mu swoją wizytówkę i w parę chwil potem wprowadzono nas do gabinetu ministra. Mąż stanu przyjął nas ze staromodną kurtuazją, z której był znany. Wskazał nam dwa wygodne, antyczne fotele po obu stronach kominka. Gdy stał obok nas na dywanie, wysoki, szczupły, o ostrych rysach mądrej twarzy i kędzierzawych włosach przyprószonych przedwczesną siwizną, wydawał się wcieleniem ginącego już typu arystokraty w każdym calu.

— Pańskie nazwisko jest mi dobrze znane, panie Holmes — powiedział z uśmiechem. — Wiem, oczywiście, co pana do mnie sprowadza. W moim ministerstwie wydarzył się tylko jeden wypadek, który mógłby pana zainteresować. Pozwoli pan, że zapytam, w czyim imieniu pan działa?

— W imieniu pana Percy'ego Phelpsa — odparł Holmes.

— Ach, mego biednego siostrzeńca! Pojmuje pan, że nasze pokrewieństwo tylko utrudnia mi jego obronę. Obawiam się, że to nieszcześnie wydarzenie fatalnie zaciąży na jego karierze.

— A jeśli dokument się znajdzie?

— Wtedy, oczywiście, sprawa będzie wyglądała inaczej.

— Chciałbym zadać panu kilka pytań, jeśli pan pozwoli.

— Chętnie udzielę wszelkich informacji.

— Czy to w tym pokoju rozmawiał pan z siostrzeńcem, polecając mu przepisanie dokumentu?

— Tak, w tym.

— A zatem nikt nie mógł panów podsłuchać.

— Nikt, z całą pewnością.

— Czy pan nikomu nie mówił, że zamierza pan dać dokument do skopiowania?

— Nikomu.

— Jest pan tego pewien, panie ministrze?

— Oczywiście.

— Skoro więc ani pan o tym nikomu nie mówił, ani pański siostrzeniec, to złodziej musiał przypadkowo trafić do jego pokoju. Zorientował się szybko w nadarzającej się okazji i ukradł dokument.

— To już nie moja działka — uśmiechnął się lord Holdhurst.

Holmes zastanowił się chwilę.

— Jest jeszcze jedno niezmiernie ważne zagadnienie, które chciałbym, jeśli pan pozwoli, omówić z panem — powiedział wreszcie. — Podobno obawiał się pan jakichś poważnych konsekwencji w wypadku, gdyby niektóre szczegóły traktatu zostały ujawnione, czy tak?

Cień przemknął po wyrazistej twarzy polityka.

— Tak. Bardzo poważnych konsekwencji.

— A czy coś już je zapowiada?

— Jeszcze nie.

— Czy gdyby zaginiony dokument już dotarł, powiedzmy, do francuskiego czy rosyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, wiedziałby pan o tym?

— Wiedziałbym — z niechęcią przyznał mąż stanu.

— Skoro więc po prawie dziesięciu tygodniach od kradzieży dokumentu nic o nim nie słyszymy, wolno nam przypuścić, że z tego czy innego względu nie dotarł on do tych ministerstw.

Lord Holdhurst wzruszył ramionami.

— Trudno przypuścić, że złodziej po to skradł dokument, aby go oprawić i powiesić na ścianie.

— Może czeka na wyższą cenę.

— Jeżeli będzie czekał dłużej, nic nie dostanie. Traktat za parę miesięcy przestaje być tajemnicą.

— To bardzo ważne — rzekł Holmes. — Można by założyć, że złodziej rozchorował się nagle...

— Na przykład na zapalenie mózgu? — zapytał Holdhurst, rzucając błyskawiczne spojrzenie na Holmesa.

— Tego nie powiedziałem — z niewzruszonym spokojem odrzekł Holmes. — Obawiam się, że zabraliśmy już zbyt wiele pańskiego cennego czasu. Pozwoli więc pan, że go pożegnamy.

— Życzę panu powodzenia bez względu na osobę przestępcy — rzekł Holdhurst, skinieniem głowy żegnając nas przy drzwiach.

— Wspaniały typ — powiedział Holmes, gdy wyszliśmy na Whitehall. — Ale niełatwo mu utrzymać swoją pozycję. Nie jest zbyt bogaty, a obowiązki ma duże. Zauważyłeś, oczywiście, że chodzi w żelowanych butach? No, a teraz, Watsonie, nie będę ci już dłużej odrywał od twoich zawodowych czynności. Sam też wracam do domu i czekam na wynik zamieszczonego ogłoszenia. Na dzisiaj dosyć. Będę ci jednak bardzo zobowiązany, jeżeli jutro rano wybierzesz się ze mną do Woking tym samym pociągiem co dziś.

Nazajutrz zgodnie z umową pojechaliśmy razem do Woking. Holmes powiedział mi, że na ogłoszenie nikt się nie zgłosił i nic nowego nie wie. Gdy chciał, potrafił przybrać iście indiański, nieprzenikniony wyraz twarzy, nie mogłem więc poznać, czy jest zadowolony z dotychczasowych wyników śledztwa. Pamiętam, że przez cały czas mówił o metodzie pomiarów Bertilliona i zachwycał się tym francuskim uczonym, który był wynalazcą antropometrii mierzenia ciała ludzkiego do celów naukowych lub policyjnych.

Naszego klienta zastaliśmy nadal pod czułą opieką narzeczonej. Wyglądał znacznie lepiej niż wczoraj. Bez trudu wstał z kanapy na nasze powitanie.

— Są jakieś nowe wiadomości? — zapytał żywo.

— Tak jak się spodziewałem, jeszcze nie mogę panu nic powiedzieć — odparł Holmes. — Widziałem się z Forbesem i z pańskim wujem. Złapałem już parę nici, które mogą nas do czegoś doprowadzić.

— A więc nie zniechęcił się pan?

— Ani trochę.

— Niech pana Bóg wynagrodzi! — zawołała panna Harrison. — Nie traćmy tylko nadziei i cierpliwości, a prawda na pewno wyjdzie na jaw.

— Ale my możemy panu więcej powiedzieć niż pan nam — rzekł Phelps, siadając na kanapie.

— Spodziewałem się tego.

— Tej nocy coś się wydarzyło, co mogłoby się skończyć tragicznie — mówił z coraz poważniejszą miną, a w oczach błysnął mu jakby strach. — Wie pan, zaczynam myśleć, że nic o tym nie wiedząc, znalazłem się w samym środku jakiegoś spisku i że ktoś czyha nie tylko na mój honor, ale również na moje życie.

— O! — wykrzyknął Holmes.

— To wprost nie do wiary, bo jak mi wiadomo, nie mam wrogów. Jednakże wydarzenie ubiegłej nocy świadczy wręcz o czymś innym.

— Proszę, niech pan powie, co się stało.

— Zacznę od tego, że wczoraj po raz pierwszy spałem sam w pokoju, bez opieki pielęgniarki. Czuję się już tak dobrze, że mogłem ją zwolnić. Nocnej lampy jednak nie zgasilem. Koło

drugiej, gdy już zacząłem zapadać w sen, zbudziło mnie ciche chrobotanie, tak jakby mysz gryzła podłogę. Jakiś czas nasłuchiwałem, pewny, że to mysz. Ale szmer przybrał na sile i nagle przy oknie coś metalicznie szczęknęło. Usiadłem na łóżku zdziwiony. Nie było już żadnej wątpliwości: ktoś usiłował przedtem wepchnąć jakieś narzędzie w szczelinę między połówki okna, a teraz rygiel ustąpił.

Z dziesięć minut było cicho, jakby ten ktoś chciał się przekonać, czy szmer mnie nie zbudził. Potem usłyszałem leciutki skrzyp ostrożnie otwieranego okna. Nie mogłem się już pohamować, bo nie mam takich mocnych nerwów jak dawniej. Wskoczyłem z łóżka i otworzyłem okiennice. Jakiś mężczyzna skulił się pod oknem. Nie mogłem mu się dobrze przyjrzeć, bo zniknął jak błyskawica. Jednego jestem pewien. Miał na sobie płaszcz z wysokim kołnierzem zasłaniającym mu pół twarzy. Jestem również pewien, że w ręku trzymał jakąś broń. Coś w rodzaju długiego noża. Wyraźnie widziałem błysk stali, gdy uciekał.

— Bardzo ciekawe — rzekł Holmes. — I co zrobił pan później?

— Gdybym się czuł silniejszy, wskoczyłbym za nim. Ale mogłem tylko dzwonić i zaalarmować cały dom. Zabrało mi to trochę czasu, bo dzwonek wisi w kuchni, a służba śpi na górze. Zacząłem jednak krzyczeć i to sprowadziło Józefa, który obudził innych domowników. Józef i stajenny znaleźli ślady stóp na grządce pod oknem, ale uważali, że po ostatniej suszy dalsze szukanie na trawie jest bezcelowe. Mówili jeszcze, że na drewnianym płocie przy drodze znaleźli miejsce, gdzie ktoś najwidoczniej przełaził i złamał przy tym szpic palika. Nie zawiadaniałem policji, uważając, że lepiej z tym poczekać na pana.

Ta historia niezwykle zainteresowała Holmesa. Zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

— Nieszczęścia zawsze chodzą parami — powiedział Phelps, uśmiechając się. Widać było jednak, że był pod wrażeniem nocnej przygody.

— Pan już miał dość jednego nieszczęścia — odparł Holmes. — Czy wystarczy panu sił, by razem z nami obejść dom dokoła?

— Chętnie wyjdę trochę na słońce. Józef pójdzie z nami.

— I ja też — wtrąciła panna Harrison.

— Przykro mi — Holmes potrząsnął głową — ale muszę panią prosić, żeby pani została.

Młoda dziewczyna z wyraźną niechęcią usiadła z powrotem. Jej brat przyłączył się jednak do nas i wyszliśmy razem. Obeszliśmy trawnik i stanęliśmy pod oknem naszego klienta. Jak mówił, zobaczyliśmy ślady na grządce, ale bardzo zatarte i niewyraźne. Holmes przykląkł koło nich. Po chwili jednak wstał i wzruszył ramionami.

— Z tego nic nie można wywnioskować — powiedział. — Obejdźmy dom, jeśli łaska, i zastanówmy się, dlaczego włamywacz wybrał pański pokój. Wydaje mi się, że te wielkie okna w salonie i jadalni byłyby dla niego znacznie ciekawsze.

— Są lepiej widoczne z drogi — podsunął Józef Harrison.

— A tak. Rzeczywiście. Ale mamy tu drzwi, którymi mógłby próbować się dostać. Dokąd one prowadzą?

— To boczne wejście dla dostawców. Na noc jest zamykane.

— Czy przedtem zdarzały się u państwa włamania?

— Nigdy — odparł Phelps.

— Czy w domu jest jakieś srebro lub coś kosztownego, co mogłoby przyciągnąć włamywacza?

— Nic cennego.

Holmes obszedł dom wkoło, z rękami w kieszeniach i z pewną nonszalancją, tak u niego niezwykle.

— Ale, ale — zwrócił się do Józefa Harrisona — podobno znalazł pan miejsce, gdzie włamywacz przełaził przez płot. Może nas pan tam zaprowadzi.

Młody człowiek zaprowadził nas na miejsce, gdzie jeden z palików w płocie miał nadłamaną szpic. Kawałek drewna zwisał w dół. Holmes oderwał go i obejrzał krytycznym wzrokiem.

— Myśli pan, że ułamano go dziś w nocy? Pęknięcie wygląda na stare.

— Być może.

— Nie widać też, żeby ktoś przeskakiwał na tamtą stronę. Nie ma żadnych śladów. Nie, tu nic nie znajdziemy. Wróćmy do sypialni i jeszcze raz rozważmy sprawę.

Percy Phelps szedł wolno, opierając się na ramieniu swego przyszłego szwagra. Holmes zaś bardzo szybko przeciął trawnik i stanął przy otwartym oknie sypialni, zanim dotarła reszta.

— Proszę pani — zwrócił się do panny Harrison cicho, ale z naciskiem. — Nie wolno się pani ruszać z tego pokoju przez cały dzień. Pod żadnym pozorem niech pani nie pozwoli się stąd wyciągnąć. To rzecz niesłychanie ważna.

— Dobrze, jeżeli pan sobie tego życzy — odparła zdziwiona.

— Kiedy będzie pani szła spać, proszę zamknąć drzwi i zatrzymać klucz przy sobie. Musi mi pani to obiecać.

— A co z Percym?

— Zabierzemy go do Londynu.

— A ja muszę zostać?

— Dla jego dobra. Odda mu pani wielką przysługę. Szybko! Niech pani przyrzeknie!

Skinęła głową na znak zgody, w chwili kiedy tamci podchodzili pod okno.

— Anno, dlaczego siedzisz kołkiem w domu? — zawołał jej brat. — Wyjdź trochę na słońce!

— Nie, Józefie. Głowa mnie boli, a tu w pokoju jest tak przyjemnie i chłodno.

— Co pan chce teraz robić, panie Holmes? — zapytał nasz klient.

— Nie wolno nam dla głupstwa zapomnieć o zasadniczej sprawie. Bardzo by mi było na rękę, gdyby się pan udał z nami do Londynu.

— Teraz?!

— Najszybciej, jak pan może. Powiedzmy, za godzinę.

— Jeżeli mam się panu na coś przydać, czuję się dość silny.

— Przyda się pan, i to bardzo.

— Czy chce pan, żebym tam zanocował?

— Właśnie to chciałem panu zaproponować.

— Hm, jeśli więc mój nocny przyjaciel znów przyjdzie mnie odwiedzić, zastanie klatkę pustą. Pan tu rozkazuje, panie Holmes, i to pan musi nam powiedzieć, co mamy robić, a my się do tego zastosujemy. Może pan woli, żeby Józef pojechał z nami i zaopiekował się mną?

— Nie. Mój przyjaciel, Watson, jest lekarzem, jak pan wie. Weźmie pana pod swoje skrzydła. Jeśli pan pozwoli, drugie śniadanie zjemy tutaj i o godzinie trzeciej razem wyjedziemy do miasta.

Zasiedliśmy więc wspólnie do śniadania, tylko panna Harrison, zgodnie z prośbą Holmesa, nie ruszyła się z pokoju. Nie rozumiałem, jaki był cel tego manewru Holmesa. Może chodziło mu po prostu o odciążenie dziewczyny od Phelpsów, który jadł razem z nami, uszczęśliwiony powrotem do zdrowia i tym, że nareszcie może coś robić. Holmes przygotował nam jednak jeszcze większą niespodziankę, bo po odprowadzeniu nas na stację i umieszczeniu w wagonie, najspokojniej oświadczył, że nie zamierza opuszczać Woking.

— Zostało mi tu jeszcze parę rzeczy do wyjaśnienia — powiedział. — Nawet jest mi na rękę, że pana tu nie będzie, panie Phelps. Watsonie, po przyjeździe do Londynu jedź, proszę, z naszym przyjacielem wprost na Baker Street i nie odstępuj go aż do mojego powrotu. Starym szkolnym kolegom nie zabraknie na szczęście tematu do rozmowy. Ulokuj pana Phelpsów w sypialni dla

gości na tę noc. Ja przyjadę jutro rannym pociągiem, który przychodzi na Waterloo Station o ósmej.

— No a co z pańskim dalszym śledztwem w Londynie? — rozczarowanym tonem zapytał Phelps.

— Odłożymy je do jutra. Teraz mam coś pilniejszego do załatwienia.

— Może pan zechce powiedzieć w Briarbrae, żeby się mnie spodziewali najpóźniej jutro wieczorem — zawołał Phelps, gdy pociąg już ruszał.

— Wątpię, czy wrócę do Briarbrae — odrzekł Holmes, wesoło kiwając nam ręką na pożegnanie.

W drodze daremnie głowiliśmy się, co mogło skłonić Holmesa do zmiany planu.

— Myślę, że chce się zająć wczorajszą próbą włamania, jeżeli to w ogóle było włamanie. Nie bardzo wierzę, żeby tu chodziło o zwykłego złodzieja — powiedział Phelps.

— Więc co myślisz o tym?

— Słowo daję... możesz to przypisać moim roztrzęsionym nerwom, ale jestem przekonany, że mamy do czynienia z jakąś poważniejszą polityczną intrygą uknutą przeciwko mnie. Nie mogę zrozumieć po co, ale jacyś spiskowcy czyhają na moje życie. To brzmi bardzo nieskromnie, a nawet absurdalnie, zastanów się jednak nad faktami! Po co złodziej włamywałby się do domu przez okno sypialni, gdzie nie miałby nic do zrabowania, i dlaczego miał nóż w ręku?

— Czy jesteś pewny, że nie był to zwykły łom?

— Och, nie. To był nóż. Wyraźnie widziałem błysk ostrza.

— Nie rozumiem, po co nastawano by tak zawzięcie na twoje życie.

— Oto jest pytanie.

— A więc jeżeli Holmes tak samo uważa, mielibyśmy wytłumaczenie, dlaczego został, prawda? Jeżeli słusznie myśli, złapanie zbrodniarza, który chciał cię zabić ubiegłej nocy, powinno doprowadzić do wykrycia osoby, która ukradła traktat. Nonsensem byłoby przypuszczać, że masz aż dwóch wrogów: jednego, który cię ograbił, i drugiego, który chciał cię zabić.

— Ale Holmes powiedział, że nie wraca do Briarbrae.

— Znam go od dawna — odparłem — i nigdy nie widziałem, żeby postępował bezmyślnie, nie mając ku temu przyczyny.

I zmieniliśmy temat.

Był to dla mnie ciężki dzień. Po przebytej chorobie Phelps był bardzo osłabiony, a jego nieszczęście zrobiło go kłótliwym i nieznośnym. Daremnie usiłowałem zainteresować go opowiadaniem o Afganistanie i Indiach, rozważaniem społecznych zagadnień, słowem, wszystkim, co by go mogło oderwać od trapiących myśli. Stale powracał do skradzionego traktatu. Bez przerwy zastanawiał się, domyślał, zgadywał, co robi Holmes, jakie kroki przedsięwzięcie lord Holdhurst, czego dowiemy się rano. Pod wieczór stał się już zupełnie nieznośny.

— Wierzysz ślepo w Holmesa? — spytał.

— Dokonywał cudów.

— Lecz nigdy chyba nie rozwiązywał równie zawiłej sprawy.

— Zapewniam cię, że tak. Wydobywał na światło dzienne tajemnice, gdy brak było jakichkolwiek wskazówek do rozwiązania zagadki.

— Ale nie wtedy, kiedy chodziło o tak poważną sprawę.

— Trudno powiedzieć. O ile wiem, działał w interesie i na zlecenie co najmniej trzech panujących domów w Europie, w sprawach niezwykle doniosłych.

— Znasz go przecież dobrze. Jest tak tajemniczy, że nie wiem, co o nim myśleć. Czy sądzisz, że ma jakieś szansę? Że mu się rzeczywiście uda?

— Ani słówkiem nie zdradził swoich myśli.

— To zły znak.

— Przeciwnie. Stwierdziłem, że jeśli nic nie wie, to przyznaje się do tego. Gdy coś podejrzewa, a nie jest jeszcze tego absolutnie pewny, milczy zawzięcie. Posłuchaj mnie, denerwowaniem się nie pomożesz sprawie. Połóż się spać i zbierz siły na jutro.

Wreszcie udało mi się go przekonać, choć widziałem, że nie zaśnie będąc tak podniecony. Musiał jednak i mnie zarazić swoim niepokojem, bo co najmniej pół nocy przewracałem się na łóżku, rozmyślając nad zagadką i snując setki najrozmaitszych przypuszczeń coraz bardziej absurdalnych. Dlaczego Holmes został w Woking? Po co prosił pannę Harrison, by na krok nie ruszała się z pokoju Phelps'a? Dlaczego nic nie powiedział mieszkańcom Briarbrae, że pozostaje w pobliżu? Suszyłem sobie głowę tymi kwestiami, aż wreszcie usnąłem, daremnie usiłując znaleźć jakąś wyczerpującą odpowiedź na dręczące mnie pytania.

Obudziłem się o siódmej rano i natychmiast poszedłem do sypialni Phelps'a. Był blady i wykończony po nieprzespanej nocy. Od razu zapytał, czy Holmes już wrócił.

— Przyjedzie, jak obiecał. Ani chwili później ani wcześniej — powiedziałem.

Mówiłem prawdę, bo parę minut po ósmej nasz przyjaciel zajechał dorożką przed dom. Stojąc w oknie, widzieliśmy, że lewą rękę miał obandażowaną, a twarz bladą i gniewną. Wszedł szybko, ale nie od razu pokazał się na górze.

— Wygląda na przegranego! — wykrzyknął Phelps.

Musiałem przyznać mu rację.

— Najwidoczniej klucz do tajemnicy znajduje się jednak w Londynie — powiedziałem.

Phelps westchnął ciężko.

— Nie wiem — rzekł — ale tyle nadziei wiązałem z jego powrotem! Zdaje mi się, że wczoraj nie miał obandażowanej ręki. Co mu się mogło stać?

— Czy jesteś ranny? — zapytałem Holmesa, gdy wszedł do pokoju.

— Tylko zadrapanie, i to przez własną niezdarność — odparł, witając nas lekkim skinieniem głowy. — Pańska sprawa, panie Phelps, jest naprawdę jedną z najbardziej tajemniczych, z jakimi miałem do czynienia.

— Boję się, że nie da pan sobie z nią rady.

— Była niezwykle interesującym doświadczeniem. — Bandaż na rękę świadczy o jakimś poważniejszym zajściu. — wtrąciłem. — Może zechcesz nam opowiedzieć, co się stało?

— Po śniadaniu, mój drogi. Nie zapominaj, że dziś rano podróżując przez trzydzieści mil wdychałem świeże powietrze Surrey. Przypuszczam, że na moje ogłoszenie nikt się nie zgłosił? No cóż, nie zawsze odnosi się sukcesy.

Stół był nakryty i właśnie chciałem zadzwonić, gdy pani Hudson weszła z herbatą i kawą. Kilka minut później przyniosła trzy nakrycia. Zasiadliśmy do śniadania. Holmes był wściekle głodny, ja — zaciekawiony, a Phelps w stanie kompletnej depresji.

— Pani Hudson stanęła na wysokości zadania — rzekł Holmes, podnosząc pokrywę półmiska z kurczakiem duszonym w curry. — Jej menu jest wprawdzie ograniczone, ale, jak prawdziwa Szkotka, wie co podać na śniadanie. Co tam masz, Watsonie?

— Jajka na szynce — odpowiedziałem.

— Wspaniale! Panie Phelps, co panu podać, drób, jajka? A może pan sobie sam nałoży?

— Dziękuję. Nie mam apetytu.

— Och, niech pan da spokój! Może pan przynajmniej spróbuje tego, co stoi przed panem.

— Naprawdę dziękuję. Nie będę nic jadł.

— No, więc dobrze — rzekł Holmes, chytrze mrużąc oko. — Ale może zechce pan łaskawie mnie nałożyć.

Phelps uniósł pokrywę półmiska i krzyknął przeraźliwie. Wytrzeszczył oczy i siedział z twarzą tak białą jak półmisek, na który patrzył. W środku leżał mały zwitek szaroniebieskiego papieru. Phelps porwał odzyskany dokument, przycisnął go do piersi i, krzycząc z radości, zaczął szaleńczo tańczyć wokół pokoju. Po chwili runął na fotel tak wyczerpany i osłabiony przeżyтым wzruszeniem, że siłą musieliśmy wlać mu do gardła trochę brandy, żeby nie zemdłał.

— No, no — uspokajająco mówił Holmes, klepiąc go po ramieniu. — Może postąpiłem zbyt ostro, jak dla pana, ale Watson potwierdzi, że lubię czasem udramatyzować sytuację.

Phelps schwycił jego rękę i przycisnął do ust.

— Niech pana Bóg błogosławi! — wołał. — Uratował pan mój honor.

— Mój własny także wchodził w grę — odparł Holmes. — Zapewniam pana, że mnie tak samo zależy na powodzeniu mojej pracy, jak panu swojej.

Phelps włożył cenny dokument w najgłębszą kieszeń surduta.

— Przykro mi doprawdy przeszkadzać panu w śniadaniu, ale umieram z ciekawości, żeby się dowiedzieć, jak panu udało się odebrać traktat i gdzie on był.

Sherlock Holmes przełknął łyk kawy i energicznie zabrał się do jajek na szynce. Potem wstał, zapalił fajkę i wygodnie zasiadł w swoim fotelu.

— Powiem panu, od czego zacząłem i co mnie skłoniło, żeby dalej działać w tym, a nie innym kierunku — powiedział. — Po rozstaniu się z panami na stacji, przespacerowałem się po uroczej okolicy Surrey aż do małej wioski Ripley, gdzie wypilem herbatę w gospodzie, przezornie napełniłem podróżną flaszkę i wsadziłem do kieszeni torebkę z paroma kanapkami. Tam przesiedziałem do wieczora, a potem wyruszyłem z powrotem do Woking. Zaraz po zachodzie słońca znalazłem się na szosie, tuż obok Briarbrae.

Zaczekałem, aż szosa opustoszeje, zresztą zdaje mi się, że nigdy nie ma tam dużego ruchu, i przedostałem się przez płot do parku.

— Brama była chyba otwarta? — głośno zdziwił się Phelps.

— Tak, ale ja mam szczególne upodobania w tym względzie. Wybrałem miejsce, gdzie rosną trzy jodły i pod ich osłoną przelazłem przez płot, mając pewność, że nikt mnie z domu nie zobaczy. Przycupnąłem w krzakach i, skradając się od jednego do drugiego, spójrzcie na opłakany stan moich spodni na kolanach, znalazłem się za kępą rododendronów na wprost pańskiej sypialni. Tu przykucnąłem i czekałem na rozwój wydarzeń.

Zasłony w oknie były podniesione i mogłem widzieć pannę Harrison czytającą przy stole. Kwadrans po dziesiątej zamknęła książkę, zatrzasnęła okiennice i wyszła. Słyszałem, jak zamykała drzwi, i byłem pewien, że przekreślała klucz w zamku.

— Klucz? — znów zdziwił się Phelps.

— Tak. Prosiłem pannę Harrison, by idąc spać zamknęła drzwi i zabrała klucz ze sobą. Zrobiła dosłownie wszystko, o co ją prosiłem i gdyby nie jej pomoc, nie miałby pan teraz traktatu w kieszeni. A więc wyszła, światła pogasły, a ja zostałem w zasadzce za krzakiem rododendronów.

Noc wprawdzie była piękna, ale siedzenie na czatach było dosyć nużące, choć niewątpliwie w jakiś sposób podniecające. Czułem się tak, jak sportowiec na ławce rezerwowych w czasie meczu, czekając na swoją wielką szansę. Trwało to bardzo długo, prawie tak długo, Watsonie, jak wtedy, kiedy czekaliśmy w tym strasznym pokoju przy rozwiązywaniu zagadki „Cętkowanej wstęgi” — W Woking zegar kościelny wybijał kwadrans, a mnie coraz częściej wydawało się, że już stanął. Wreszcie koło drugiej usłyszałem słaby zgrzyt odsuwanej rygli i szmer

przekręcanego klucza w zamku. Chwilę potem otworzyły się drzwi służbowe i ukazał się w nich, w smudze księżycowego blasku, Józef Harrison.

— Józef?! — wykrzyknął zdumiony Phelps.

— Był wprawdzie z gołą głową, ale na ramiona narzucił czarny płaszcz, tak że gdyby ktoś podniósł alarm, mógł sobie zakryć twarz. Na palcach przesunął się pod murem, a gdy doszedł do okna, wsunął długi nóż między listewki i odepchnął zasuwę. Wcisnął ostrze noża w szczelinę okiennic, a gdy je uchylił, uniósł do góry jedno skrzydło okienne.

Z mojego ukrycia miałem doskonały punkt obserwacyjny. Widziałem dokładnie wnętrze pokoju i każdy ruch Józefa. Zapalił dwie świece na kominku, odgiął róg dywanu koło drzwi, ukląkł i wyciągnął jedną klepkę z posadzki, tę, którą się zwykle zostawia luźną, aby mieć łatwiejszy dostęp do połączeń rur gazowych. Przykrywała ona, jak się okazuje, złącze prowadzące do kuchni, znajdującej się niżej. Z tej kryjówki wydobyl ten oto mały zwitek papierów, z powrotem położył klepkę, wygładził dywan, zdmuchnął świecę i... wpadł wprost w moje ramiona, bo już czekałem na niego pod oknem.

Przyznaję, że był bardziej niebezpieczny niż go o to podejrzewałem, bo rzucił się na mnie z nożem. Musiałem powalić go na ziemię, ale sam oberwałem ostrzem po palcach zanim go unieszkodliwiłem. Po walce patrzył na mnie jak zbój niezapuchniętym okiem, ale posłuchał głosu rozsądku i oddał mi papiery. Gdy już je miałem, puściłem go. Dziś rano przetelegrafowałem wszystkie szczegóły Forbesowi. Jeśli uwinie się prędko, złapie ptaszka i szczęście mu Boże! Lecz jeśli, co złośliwie podejrzewam, gniazdko już wystygnie, zanim się tam zjawi, tym lepiej dla rządu. Coś mi się wydaje, że lord Holdhurst z jednej strony i pan Percy Phelps z drugiej woleliby, żeby sprawa nie wyszła poza śledztwo.

— Wielki Boże! — jęknął nasz klient. — Mówi pan, że skradzione papiery przez całe dziesięć straszliwych tygodni leżały obok mnie w tym samym pokoju?

— Tak.

— Józef! Józef łotr i złodziej?!

— Hm, wydaje mi się, że Józef jest o wiele bardziej chytry i niebezpieczny niż na to wskazuje jego wygląd. Z tego, co usłyszałem od niego dzisiaj rano, wnoszę, że przegrał na giełdzie masę pieniędzy i był gotów na wszystko, byle podreperować nadszarpnięte finanse. Widząc nadarżającą się okazję, ten bezgraniczny egoista, pozbawiony sumienia, nie zawahał się narazić szczęścia swojej siostry ani pańskiej reputacji.

Percy Phelps bezwładnie opadł na fotel.

— W głowie mi się nie mieści — powiedział. — Pańskie opowiadanie mnie oszołomiło.

— W tej sprawie główną przeszkodą było to — ciągnął Holmes pouczającym tonem — że mieliśmy za dużo poszlak. Te, które były naprawdę ważne, ukrywały się za zupełnie błahymi. Z wszystkich znanych nam faktów należało wybrać te, które wydawały się istotne, uszeregować i odtworzyć bardzo ciekawy splot wydarzeń. Zacząłem podejrzewać Józefa już od chwili, kiedy pan wspomniał, że tego fatalnego wieczoru mieliście razem wracać do domu. Nikogo nie mogło zdziwić, że znając dobrze ministerstwo mógł po pana wstąpić idąc na dworzec. Kiedy zaś dowiedziałem się, że ktoś próbował wtargnąć do sypialni, w której Józef mógł coś ukryć, gdyż jak pan wspomniał, on poprzednio zajmował ten pokój, moje podejrzenie zmieniło się w pewność. Była ona tym bardziej uzasadniona, że próby włamania dokonano pierwszej nocy, kiedy odeszła pielęgniarka. Dowodziło to, że zbrodniarz dobrze wiedział, co się dzieje w domu.

— Ależ byłem ślepy!

— O ile mogłem ustalić, fakty wyglądają tak: Józef Harrison zajechał do ministerstwa od strony Charles Street i, znając drogę, wszedł do pańskiego pokoju w chwilę po pańskim wyjściu. Widząc, że nikogo nie ma, podeszedł do dzwonka i szarpnął nim. W tej chwili ujrzał papiery

rozłożone na biurku. Od razu zorientował się, że los daje mu w ręce państwowe papiery doniosłej wagi. Błyskawicznie schował je do kieszeni i wyszedł. Pamięta pan, że upłynęło parę minut zanim zaspany woźny zwrócił pańską uwagę na dźwięk dzwonka. To wystarczyło złodziejowi.

Najbliższym pociągiem Józef odjechał do Woking. Tu przyjrzał się swemu łupowi, przekonał się, że istotnie jest to niezwykle cenny dokument, i ukrył go w miejscu, które uważał za najpewniejsze. Za dzień lub dwa zamierzał wyjąć zdobycz i zanieść ją do ambasady francuskiej lub tam, gdzie mu dadzą więcej. Lecz pański nagły powrót pokrzyżował mu plany. Nie zwlekając, usunięto go z pokoju, w którym odtąd przebywały zawsze co najmniej dwie osoby. To uniemożliwiło mu dostanie się do skarbu. Bardzo go to zirykowało. Aż wreszcie zdawało mu się, że nadarza się okazja. Usiłował wkraść się do pokoju, ale nie udało mu się, ponieważ pan nie spał. Pamięta pan, że tamtego wieczoru nie wziął pan swego zwykłego lekarstwa?

— Pamiętam.

— Podejrzewam, że Józef musiał przedtem dolać jakiegoś środka nasennego do tego leku i był całkowicie pewny, że pan mocno zaśnie. Oczywiście, wiedziałem, że przy pierwszej nadarzającej się sposobności znów spróbuje włamania. Pański wyjazd dałby mu szansę, na którą czekał. Panna Harrison na moją prośbę nie ruszyła się na krok z pokoju, co uniemożliwiło Józefowi wejście do pokoju przed moim powrotem. Potem utwierdziłem go w przekonaniu, że może bez przeszkód wejść do środka, ale jednocześnie pozostałem na czatach. Już wtedy wiedziałem, że papiery powinny być; w pokoju, ale nie chciało mi się w celu ich znalezienia zrywać podłogi i listew. Pozwoliłem więc Józefowi wyjąć je ze schowka, oszczędzając sobie w ten sposób wiele trudu. Czy wszystko jest jasne?

— Dlaczego za pierwszym razem Józef próbował dostać się przez okno, kiedy mógł wejść drzwiami? — zapytałem.

— Gdyby chciał wejść drzwiami, musiałby przejść obok siedmiu sypialni. Do ogrodu zaś mógł dostać się bez trudu. Czy coś jeszcze jest niejasne?

— Pan chyba nie myśli, że miał jakieś mordercze zamiary? — zapytał Phelps. — Nóż miał służyć tylko do włamania...

— Być może — odparł Holmes wzruszając ramionami. — Powiem tylko, że nie chciałbym się znaleźć w rękach takiego człowieka, jak Józef Harrison.